

CZŁOWIEKIEM JESTEM

Zbiór opowiadań



CZŁOWIEKIEM JESTEM

Zbiór opowiadań

Człowiekiem jestem

Korekta:

Marek Kowalik

Copyright © 2013 by **Autorzy Antologii**

Opracowanie graficzne oraz skład tekstu:

Anna Teodorczyk

Druk i oprawa:

SOWA – druk na życzenie® www.sowadruk.pl

ISBN: 978-83-62352-15-9

Wydawnictwo MORPHO, Sieniawa Żarska, 2013

Projekt fontu alegreya:

Juan Pablo del Peral

Źródło grafiki do logo „dj Jajko”:

<http://www.creaturesontshirts.com/>

WSTĘP

Większość z nas kojarzy fantastykę wyłącznie z magią, przedmiotami obdarzonymi mocą lub ludźmi posiadającymi niezwykle umiejętności. Na ogół też jest to lektura lekka, łatwa i przyjemna, w której najtrudniejsza do przebrnięcia jest cena. Wiecznie palącym słońcem lśnią nadużywane miecze, a strzały świszczą w elfich uszach. Strumieniami leją się mocne trunki, strużkami płynie krew, seks jest brutalny i dziki.

Okazuje się jednak, że może być inaczej. Że nawet w wysnionych krainach czy na pokładach statków kosmicznych wciąż dręczą nas te same pytania. To może przestańmy uciekać?

Przed Wami zbiór opowiadań początkujących autorów, którzy zapragnęli zmierzyć się z czymś poważniejszym. Nie każdy z tekstów zawiera elementy typowej fantastyki, choć w większości odnajdziecie je w mniejszym lub większym stopniu. Najważniejsze jest to, że wszystkie utwory próbują zmagać się z rzeczywistymi problemami, patologiami czy ułomnościami, jakie nas dotyczą.

Zapraszamy do lektury, która może nawet wycisnąć łzę z niejednego oka, skłoni do zadumy, poruszy. Kto wie, może i mocniej zabiją czytelnicze serca?

Jeśli tak się stanie, to znaczy, że osiągnęliśmy zamierzony cel.

*Barbara Mikulska
Marek Zychla*

Barbara Mikulska

ARTYSTA (sto słów z Cynceronem)

Patrzył na przelewające się tłumy. Omijały jego dzieło jak kupę łąjna na chodniku. Nikt nawet nie podniósł wzroku. Tylko jeden facet spojrział, gdy zatopiony w odczytywaniu esemesa, wpadł na posąg.

Nic tak nie boli artysty jak obojętność. Załamał się. Sztuka wymaga uznania, opinii, krytyki.

„Poczekajcie, zaraz wam udowodnię, że nie można mnie ignorować”.

Z doniesień prasowych:

Dziś rano przy stacji metra Młociny młody, zdolny mężczyzna wysadził siebie i swoje dzieło. Ładunek nie uszkodził kolejki. Nikt nie zna przyczyny, dlaczego ten utalentowany człowiek odebrał sobie życie. Rzeźbę można obejrzeć tylko na nagraniu z monitoringu. Krytycy twierdzą, że była tworem genialnego artysty.



Marek Zychla

BLIZNY

– No to jak? Jedziemy wreszcie do domu? – Trochę się niecierpliwilem.

– Podskoczmy jeszcze do Lidla po pieluchy.

– Nie, myszko... Naprawdę nie mamy czasu. Prosiłem cię z tysiąc razy, żebyś...

– Nasi i tak przegrają – przerwała mi żona. – A twojemu Krzyškowi nic złego się nie stanie, jeśli chwilę poczeka pod drzwiami. I tak siedzi u nas w każdą środę.

– Trochę to niekulturalnie... – mruknąłem, myśląc o whisky z colą.

Podeszła i pocałowała mnie w policzek. Westchnąłem znacząco i wyciągnąłem synka z wózka. Maluch pacnął mnie w twarz, wyrzucając z siebie „ta ta ta”. Ma roczek, a już taki bystry! Starsza córka wspięła się na swój fotelik i czekała na resztę rodziny.

– No dobra, ale nie zapinaj ich, bo mnie szlag trafi z tym pasem – poprosiłem. – I nie rób mi wykładu. – Powstrzymałem ją w ostatniej chwili. – To tylko kawałek.

– Ale obwodnicą...

– Skarbie, wsiadaj i nie kracz. Pliz.

Wsiadła, a ja jak zwykle dałem dzieciom do zabawy swoją komórkę.

Jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

Poprawił się stan mężczyzny ocalałego z wypadku. Okoliczności zdarzenia wyjaśnia policja pod nadzorem Prokuratury Rejonowej w Żarach.

Mężczyzna doznał rozległego urazu czaszkowo-mózgowe-

go, a jego stan określono jako ciężki. Przeszedł operację usunięcia krwiaka mózgu i znajdował się w śpiączce farmakologicznej.

Jak poinformowali lekarze ze szpitala wojskowego w Żarach, mężczyzna odzyskał przytomność.

Do wypadku doszło w środę wieczorem...

Już noc? Nie mogę się podnieść. Ziemia przyciąga mnie mocniej niż zwykle, taka chłodna i wilgotna. Chce mi się pić. Wiele bym dał za coś gazowanego i słodkiego, ale nie colę.

Gwiazdy przyglądają mi się z uwagą, księżyc oświetla betonowe bloki i cały ten swojski syf. Modernizm architektoniczny, którego nigdy nie potrafiłem docenić. Styl bez stylizacji. Najbrzydsze miejsce na Ziemi.

„Moje osiedle?” – zastanawiam się, patrząc w ciemne okna. Jak długo mnie tu nie było?

Wstaję, napędzany strachem. Jeszcze mnie ktoś zobaczy i stanę się najświeższym tematem plotek starej Zasiadczykowej. Odruchowo próbuję otrzepać spodnie, lecz dłońmi uderzam w gołe uda.

„Co jest?”

Rozglądam się. Na policzki napływają mi czerwone fale wstydu. Stoję na środku podwórka – tego sprzed lat – w dodatku w samych slipkach, a moje ciało lata świetności ma już dawno za sobą. Wszystko mnie boli. Śnię?

Nigdzie nie mogę znaleźć tych cholernych dzinsów – jedynych, które jeszcze na mnie pasują. Widzę tylko cuchnące śmietniki, drzemiące z półprzymkniętymi pokrywami pod obszczaną wiatą.

Barbara Mikulska

...CO TOBIE NIEMIŁE

Samosiejki naparstnic wyrosły gęsto wokół cembrowiny sadzawki. Ich wiotkie pędy obsypane liliowymi, różowymi i prawie białymi kwiatami falowały na wietrze. „Brakuje tylko, żeby zaczęły podzwaniać” – pomyślała Elżbieta, podziwiając delikatne kielichy.

Nagle zapagnęła je objąć i wtulić twarz w miękkie, wonne liście. Zatracić się w zapachu. Zapomnieć. Wyciągnęła ramiona i wtedy ból barku odezwał się ze zdwojoną siłą. Na nic wieczorne okłady z lodu. Choć o poranku koszmar poprzedniego dnia wydawał się tylko złym snem, to cierpienie przeczyło nadziei.

Łzy pojawiły się same. Kapały na delikatne kwiaty, na wilgotne od rosy liście. Z blad różowego kielicha wyleciała osa, odbiła się od policzka kobiety i poleciała rozeźlona na kwitnącą lipę.

Elżbieta podjęła decyzję. Pójdzie do staruchy. Ona i tak wie. A jest mądra. Bardzo mądra. Na pewno poradzi, tak jak obiecała.

Ślub był taki, jak sobie wymarzyła. Skromny, w drewnianym kościółku, gdzie zapach sosnowych ławek mieszał się z wonią kwiatów, którymi ustrojono ołtarz. Koleżanki z zachwytem i z zazdrością zerkwały na pana młodego. Na jej męża. On zaś obrzucał je obojętnym spojrzeniem, by potem skupić uwagę tylko na Elżbiecie. Jego uśmiech, dotyk dłoni stanowiły bramę do rajów.

Zamieszkali z rodzicami dziewczyny. Trzy lata minęły jak we śnie. Do pełni szczęścia brakowało jej tylko

dziecka. Bardzo tego pragnęła, ale Artur odsuwał decyzję – uważał, że muszą najpierw się usamodzielnąć. Poza tym są jeszcze młodzi, powinni wykorzystać czas na zabawę. Starał się wynagrodzić ten brak – był czułym mężem, dobrym zięciem, kapitalnym kumplem, zdolnym projektantem. Szybko zdobył uznanie w hermetycznym światku architektów, a to dało im szansę na własny ką. Wyprowadzili się do zaniedbanej willi, odkupionej po okazyjnej cenie od starej ciotki. Elżbieta chciała pójść do pracy, ale Artur zaprotestował.

– Może za jakiś czas – powiedział. – Masz dom i ogród, które trzeba doprowadzić do porządku. Ja zarabiam wystarczająco, moja żona nie musi wycierać się po jakichś biurach.

Została kurą domową. Na dodatek cała rodzina przyjęła jego decyzję z zachwytem. Taki troskliwy. Taki czuły. Taki dobry.

Pierwszy symptom, który całkowicie zignorowała, pojawił się w czasach, gdy ze sobą chodzili. Na jakiejś imprezie kumpel poprosił ją do tańca. Muzyka była głośna, rytmiczna, a w Elce kipiała radość i energia. Wstała od stolika rozeźmiana, gotowa na szalone, radosne płąsy na parkiecie. I wtedy poczuła na ramieniu żelazne kleszcze, które jak obcęg zgniaty jej ciało i zmusiły, by z powrotem zajęła miejsce. Spojrzała na Artura zaskoczona, ze łzami w oczach.

– Siadaj – syknął. – Nie będziesz się szlajać z obcymi facetami.

– Ale ja chciałam tylko... – próbowała wyjaśnić.

– Milcz! – W jego szklistych od alkoholu oczach widziała gniew. Dyszał ciężko, jak po biegu.

– Artuś, kochany! – Nareszcie zrozumiała. – Ty jesteś o mnie zazdrosny!

Jarosław Turowski

WITAMY PO REKLAMACH! (Kids With Guns)

Niedaleka przyszłość.

Tam zmierzamy?

– Moje ciało to moje więzienie! – ryczał mężczyzna w fioletowej szacie. Nosił na piersi karykaturalnie wręcz wielki, złoty krzyż, a białka jego wytrzeszczonych oczu szpeciła gęsta sieć czerwonych żyłek. – Wasze ciała to wasze więzienia!

Ogarnięty natchnionym szaleństwem tłum pisał. Ludzie unosili otwarte dłonie i podskakiwali. Kilka osób zemdlało z emocji, ale nikt nie zwracał na to uwagi.

– Lecz powiadam wam, przyjdzie dzień, gdy uwolnimy się od cierpienia! – kontynuował Prorok głosem wzmocnionym przez dziesiątki głośników.

Tuż za nim, na piedestale, z którego wygłaszał dzisiejszą mowę, stały dwie tekturowe atrapy imitujące ogromne puszki. Widniało na nich logo – czaszka na czerwonym tle przeciętym błyskawicą. Napis poniżej głosił: ZAJEBISTA MOC.

– Porzucimy więzienia własnych ciał! Odrzucimy nasze plugawe powłoki, w których krążą fekalia! Słabe ciała pełne nieczystych chuci zgniją, a my wzniesiemy się na wyższe piętro ewolucji! Poziom czystszy i piękniejszy, gdzie istoty nie wydalają ani nie miesiączkują!

Ludzki motłoch wirował w tańcu ekstazy.

– Jak obleśna larwa zamienia się w pięknego motyla, tak my dostąpimy naszej boskiej transformacji! By robił wzniosł się ku wyższemu poziomowi bytu, musi pierw oblec się w szczelny kokon. Naszym kokonem jest śmierć! Otula nas bezgłośnie czarnym całunem nicości,

z którego wychodzimy jako lepsze stworzenia! Nie ma już obrzydliwego ciała! Nic nie *musimy*, niczego nam nie *potrzeba*, ale MOŻEMY WSZYSTKO! Przemieniamy się w coś tak pięknego i szlachetnego, że nasze obecne, upośledzone umysły, nie potrafią nawet tego dostrzec. Powiadam wam, bracia i siostry: ciało ludzkie, jakie znamy, to ledwie pierwsze stadium istnienia – stadium brzydkie, słabe i plugawe! Śmierć to nasz kokon!

– Kokon! – skandował spocony i rozedrgany tłum.

– Przygotujmy się, aby dostąpić transformacji w stadium bezcielesnego piękna! Krzyczcie razem ze mną, dzieci: moje...

– ...ciało to moje więzienie!

Drugi leżał na brudnej podłodze wewnątrz swojej klatki. Pojękiwał cicho i przyglądał się spod półotwartych powiek matce. Kołysała się na starym krześle w rytm słów Proroka. Klaskała w dłonie, gdy krzyki dobiegające z telewizora stawały się szczególnie głośne i ekstatyczne.

– ...to moje więzienie – syczała w kierunku szklanego ekranu, kiwając przy tym energicznie głową. Jej pierś wznosiła się i opadała w szybkim oddechu pełnym podniecenia.

Do pokoju wszedł ojciec. Był ubrany w ten sam co zawsze, poplamiony podkoszulek, który opinał ciasno jego ogromny bańdzioch. W potężnej dłoni niósł czteropak piwa.

– Przełącz, Stara, zaraz będą dokańczać nominacje – rzekł, zapadając się w głąb wysłużonego fotela.

Barbara Mikulska

WOLONTARIAT

– Czy umiesz umierać?

Nie odpowiedziałam. Spojrzałam zdziwiona. Przy wszystkich zniekształceniach ciała jego twarz była najmniej zdeformowana. Niemalże nie odbiegała od standardów. Jedynie zbyt szeroko rozstawione oczy, umieszczone prawie na skroniach, sprawiały dziwne wrażenie. Nie można było patrzeć w nie prosto, człowiek zerkał to w jedno, to w drugie.

– Umiesz? – zniecierpliwiony powołał pytanie.

– Czemu pytasz? Tego nikt nie umie!

– No coś ty! Ania umie. I pan Tomasz. Moja mama też chyba umie.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Ale o co pytasz?

– O mamę.

– Bo kiedyś powiedziała, że chciałyby umieć, ale nie potrafi. A potem przyszła i powiedziała, że już chyba umie.

– Kiedy to było?

– Jak przyjechał ten doktor ze Szwajcarii. Parę tygodni temu.

Pamiętałam tę wizytę. Akurat wypadł mi dyżur. Lekarz zbadał Darka, zlecił litanię testów, po czym orzekł to samo, co już wszyscy od dawna wiedzieliśmy.

Patrzyłam na matkę chłopca i widziałam, jak rozpada się na kawałeczki. Ten specjalista był ostatnią nadzieją. Potem opanowała się, zacisnęła szczęki, a ja pomyślałam, że jest jednocześnie bardzo krucha i silna. Wyszła – nieprzytomna z bólu i rozpacz. Łzy, płynące spokojnym strumieniem po twarzy, przesłoniły jej świat.

Kierowca taksówki nie zdołał wyhamować.

– Potem przez jakiś czas nie przychodziła, a kiedy znowu się zjawiała, była jakaś inna. – Głos chłopca wyrwał mnie z zamyślenia.

– Jak to?

– Co, jak to? – Darek nie zrozumiał pytania.

– Jak to inna? – uściśliłam.

– No wiesz, jak by ci to opisać... – Ośmiolatek zamyślił się. – Jest teraz taka świetlista. I... trochę przejrzysta. Najpierw widziałem ją tylko we śnie. Ale teraz przychodzi normalnie. Nawet teraz tu jest, ale nic nie mówi, tylko się przysłuchuje. I uśmiecha się do mnie. Do ciebie też.

Poczułam nieprzyjemne mrowienie na karku. Zażmiałam się nerwowo.

– A kiedy jesteście sami, rozmawiasz z nią?

– Tak. Mama mówi, że muszę się tylko nauczyć umierać i wtedy ona po mnie przyjdzie i zaprowadzi w takie miejsce, gdzie będę mógł chodzić, a nawet biegać. Tylko że ja staram się i staram, ale jakoś nie potrafię się nauczyć. Dlatego pytam ciebie.

– Wiesz, chyba nikt nie może się tego nauczyć. To po prostu pewnego dnia się zdarza i już.

– Mama też tak mówi. Że pewnego dnia to się zdarzy. Ale że muszę się starać. A ja się staram, tylko nie bardzo mi wychodzi. Chociaż według mamy jestem wyjątkowy.

– O tak, jesteś.

Matka Darka bardzo źle znosiła ciążę. Lekarz zapisał jej talidomid, który rzekomo miał złagodzić nieprzyjemne objawy. Złagodził. Tylko chłopiec urodził się z nogami, które kończą się kilka centymetrów za pośladkami, i rękoma, które nie mają nawet łokci, nie mówiąc o dłoniach.

Juliusz Wojciechowicz

ZDZIRA

Nadchodzi, a smród nadtrawionego alkoholu wyprzedza go na kilka metrów. Trzaska drzwiami, choć początkowo próbował się skradać. Przekleństwo, beknienie, syk bólu, gdy kolaniem zahacza o szafkę na buty. Przedpokój – klaustrofobicznie ciasny, mroczny; mężczyzna sięga do gniazdka, ślepą dłonią klepie bezradnie po ścianie, zatacza kręgi, maca. Trafia w końcu na przycisk. Trzykrotnie zapala światło, gasi – odurzona kończyzna, jakby obca, porażona bezwładem nie może się zdecydować. Wreszcie nastaje jasność. Blask stuwatowej żarówki rżnie po przekrwionych oczach, wbija w mózg nieznośne szpilki, rozdrapuje jaźń na strzępy. Na wprost łazienka – niedomknięte drzwi, przez szparę wyziera czerwony kawałek obdrapanego plastiku. Mężczyzna przez chwilę patrzy, próbuje skupić myśli – w końcu doznaje olśnienia: kocia kuweta. Opiera się całym ciężarem o starą pralkę, stojącą, a jakże, w sieni – łazienka jest jeszcze mniejsza. Chwieje się, próbuje zzuć buty. Wsuwane mokasyny walczą, opierają się, zdają się złośliwie przyrastać do stóp. Pierwszy schodzi; mężczyzna trzyma but w lewej ręce, patrzy nań z mieszaną nienawiści i dzikiej satysfakcji, równocześnie obserwuje kawałek gówna wprasowanego w podeszwę. Mamrocze pod nosem, sięga po drucziany wieszak i dłubie ostrym końcem; kawałki psiego kału spadają na podłogę. Przemieszcza się w lewo – podłużny aneks kuchenny zdaje się nie mieć końca. Ale on przecież tylko do zlewu; przemyć mokasyn, twarz, wypłukać usta, zanim otworzy następne drzwi – drzwi do sypialni. Woda ciurka z kranu, obmywając obsrany but, skapuje brunatny-

mi kroplami na stos talerzy, widelców, filiżanek, które piętrzą się chybotliwie w obdartym z emalii zlewie.

Nagły skurcz krtani, pałaca żółć drażni przełyk. Mężczyzna zastyga w pół obrotu, potyka się – wciąż ma na sobie płaszcz; grzęźnie stopami w zdradzieckich połach prochowca. Po drodze jednak stoi lodówka; chwyta się jej kurczowo jak tonący brzytwy, zastyga zawieszony w próżni, niemal ją przewraca. W końcu podłoga wstaje, wymierza bezlitosny cios prosto w twarz. Podnosi się też lodówka i odzyskawszy równowagę, zrzuca z siebie balast od lat ciężący jej na barkach. Otwarte opakowanie mąki leci statecznie, zasłaniając się dyskretnie welonem białego pyłu, grad przypraw szybuje majestatycznie na wzór kolorowych latawców, ciężki stalowy prodiż dobija leżącego.

W drzwiach sypialni pojawia się zaspana twarz – twarz wybudzonej z koszmaru kobiety. Przez chwilę w jej wielkich oczach widać jedynie przerażenie; odgarnia kosmyk włosów z odcisniętego poduszką czoła, rozgląda się, widzi, rozumie. Odwraca się z rezygnacją – powyciągana koszula nocna śledzi ją niczym groteskowy tren panny młodej – zamyka za sobą drzwi.

On próbuje walczyć – strużka żółtego śluzu cieknie z kącika ust – wyplątuje się z objęć płaszcza, podpira kolaniem. Już prawie stoi, gdy tą jedną, wciąż obutą stopą natrafia na kocią miseczkę. Trzask szkła przypomina suchy strzał pistoletu. Kopie z furją w lodówkę. Przenikliwy ból zwala go z nóg – zapomniał, że jest jednostronnie bosy.

Chlusta po ścianach kolorowym pawiem, w przerwach wyje – chyba złamał palec u nogi. Sąsiad z góry wali szczotką w kaloryfer, słychać gwar wyrwanych ze snu piętro niżej.

Juliusz Wojciechowicz

WIELKI DZIEŃ

Genowefa przeciągnęła się powoli, z ostrożnym namysłem osoby w podeszłym wieku. Delikatne trzaski więzadeł, szmer budzonych do życia ścięgien, chrupot zaspanych stawów – ot, codzienna orkiestra niezmiennie towarzysząca okolicznościom porannego powrotu do rzeczywistości. Leniwie przecierała oczy dziecięco zaciśniętymi w kułak piąstkami, ziewnęła szeroko i głośno. Łóżko skrzypiało w rytm przesuwanego środka ciężkości, choć w przypadku Genowefy bardziej był to środek lekkości, zwiewnej nastoletniej postury, jakby niesłusznie pooranej kanionami bruzd, falami zmarszczek, autostradami sinych żyłek. Upływ czasu w sposób nieubłagany odciskał coraz to głębsze, bardziej bolesne, wstydlive i nieuchronne piętno na doczesnej powłoce siedemdziesięcioletniej kobiety. Otworzyła w końcu oczy, rozejrzała się po pokoju i próbując pozbyć się złośliwej mlecznej poświaty, mgiełki coraz częściej zasnuwającej pole widzenia, nerwowo mrugała i potrząsała głową niczym niesforny psiak, otrząsający się po kąpiele. Omiotła wzrokiem otaczającą ją aurę przytulnego pokoiku, jedyne pomieszczenia w skromnej kawalerce, w której spędziła ostatnie dwadzieścia lat życia. Mieszkanie wyogromniało, stało się nieprzyjazne i chłodne, jakby ktoś wypuścił krew z tapet, mebli, dywanów odbierając całą zaciszę i ciepło. Wszystko wydawało się pobladłe, wyniszczone, osłabione ciężką chorobą, walczące resztkami sił z degenerującymi skutkami chemioterapii. Wszystko było dzisiaj po prostu inne, obce. Jej pokój sprawiał wrażenie, jakby nagle postanowił rozstać się z jedyną i najbliższą osobą, zdawał się obrzydzać swój własny wizerunek, w nadziei wywołania mniejszego

cierpienia powodowanego nieuchronną rozłąką. Aneks kuchenny majaczył z daleka wyraźną niechęcią, a przez uchylone drzwi łazienki ziała niemal wrogość. Panował głuchy, nienaturalny bezruch. Martwą ciszę przerwał chropowaty dźwięk, wydobywający się konwulsyjnie z trzewi starego jak świat, ebonitowego telefonu.

Mietka obudził gwałtowny skurcz pustego żołądka. Fala żółci i kwasu solnego z delikatnością żrącej lawy przez chwilę nie mogła się zdecydować, czy wypłynąć wodospadem wymiocin wprost na posadzkę, czy, zostawiając palące ślady, cofnąć się po ścianie przetyku z powrotem do chemicznego piekła aktywnego wulkanu. Mietek zaklął głośno i splunął na podłogę wprost na zaschniętego pawia. Zwoje gąbczastych jelit wypełzały z brzucha starego wyliniałego fotela, stalowe kości sprężyn skręcały się w spiralnym grymasie, stercząc z poszarpanego ramienia niegdyś potężnego i wygodnego oparcia. Próbując przybrać nieco bardziej pionową postawę, mężczyzna prawą stopą odgarniał kępki petów, którymi zdawała się zarastać betonowa, surowa posadzka piwnicznego lokum. Świat miał kolor biało-różowy, mglisty i niewyraźny. Po ziemi wały się puste butelki po ruskim metanolu „ślepotce”, pokotem leżały, lśniąco trupim, fioletowym nalotem charakterystyczne flaszki po „jagodziance na kościach” – „błękicie Paryża”, jak mawiali miejscowi smakosze. Spojrzał w górę, gdzie nadal tliła się brudnożółtym światłem dwudziestopięcioletnia żarówka, walcząc z wszechobecnym cieniem, czającym się zarówno w brudnych kątach czy czeluściach między drewnianymi skrzynkami, jak i w przezartym trucizną umyśle Mietka.

Tomasz Zawada

CZŁOWIEKIEM JESTEM

Gdy Robert nie wrócił z pracy o zwykłej porze, Magdę ogarnęło nieodparte przeczucie, że stało się coś straszego.

Zawsze wyobrażała sobie Szczęście jako pięknego rycerza o długich blond włosach, dosiadającego czarnego niczym noc rumaka. Wierzchowiec nazywał się Pech i Magda nawet w myślach starała się nie wymawiać jego imienia.

Przez całe lata los obchodził się z nią i mężem łaskawie. Byli zdrowi, mieli pracę, zarabiali wystarczająco na wygodne, pozbawione większych trosk życie. I chociaż mimo starań wciąż nie udawało im się doczekać potomka, nie tracili nadziei, pokładając ufność, w przypadku Magdy – w Bogu, a w przypadku Roberta – w medycynie.

Tego popołudnia Magda postanowiła zrobić mężowi niespodziankę i przygotowała jego ulubione danie: cukinię zapiekaną z mięsem i pieczarkami. Do tego zrobiła lekką sałatkę. Całości dopełniały kawałki bagietki z masłem czosnkowym. Nakryła stół w ogrodzie za domem. Jak na koniec września dzień był bardzo ciepły i planowała złapać tyle uciekającego lata, ile będzie w stanie.

Minęła szesnasta trzydzieści, a Robert wciąż się nie pojawiał. Magda wyłączyła piekarnik, żeby jedzenie za bardzo się nie spiekło. Z roztargnieniem słuchała radia, co chwila zerkając na wskazówki zegara, które w zaskakującym tempie pożerały kolejne minuty. Tłumaczyła sobie, że przecież nie wydarzyło się nic niezwykłego. Zdarzało się, że Robert zostawał czasem w pracy na dłużej. Uczucie niepokoju jednak jej nie opuszczało.

Gdy zadzwonił telefon, aż podskoczyła na krześle.

Odgłos dzwonka zabrzmiał przerażająco, jakoś tak głucho i ostatecznie. Magda ujrzała oczyma wyobraźni Rycerza Szczęścia – leżącego na ziemi w pogiętej zbroi, całego połamanego i pokrwawionego. W kurczowo zaciśniętej dłoni trzymał złamany miecz, desperacko starając się odeprzeć atak Pecha. Ciemne oczy rumaka lśniły triumfalnie. Koń rżał głośno, oznajmiając, że jego czas właśnie nadszedł, jednocześnie raz po raz miażdżąc pokonanego kopytami.

Raz, drugi, trzeci, czwarty – dzwonienie nie ustawało.

Magda podeszła do stolika i drżącą dłonią podniosła słuchawkę.

– Słucham – powiedziała cicho.

Przez kilka minut słuchała tłumaczeń obcego głosu, a gdy skończył, ze zdenerwowania nie była stanie wykrztusić nawet słowa, więc na zadane pytanie odpowiedziała kiwnięciem głowy i dopiero po chwili się zreflektowała.

– Tak, zaraz będę – odparła.

Po zakończeniu rozmowy oparła się o ścianę, żeby nie upaść. Miała zawroty głowy. Poszła do kuchni i duszkiem wypila szklankę wody. Od tego zrobiło jej się lepiej. Szybko spakowała niezbędne rzeczy do torebki, po czym prędko pojechała do szpitala.

Pierwszą rzeczą, jaką Robert zobaczył po przebudzeniu, był biały sufit szpitalnej sali. Czuł się senny i otumaniony. Dopiero kiedy obrócił głowę na bok, zorientował się, gdzie się znajduje.

Barbara Mikulska

JESIEN

Lubiła tę porę roku. Słońce przyjemnie grzeje, ale już nie ma w sobie tego palącego żaru, jak w środku lata. Nie słychać też radosnych wrzasków dzieci ani warkotu kosiarek, ani muzyki z pootwieranych na oścież okien. Wszyscy są w szkołach, w pracy. Przez te kilka godzin miała wrażenie, jakby została sama we wsi. Oprócz niej oczywiście było jeszcze kilka osób, ale one też siedziały cicho, rozkoszując się spokojem.

Zawiał wiatr. Potrząsnął gałęziami jabłoni, wypłoszył kilka sikorek. Kot otworzył jedno oko i zerknął bez zainteresowania na ruchliwe ptaki. Przetarł pyszczek łapą, strącając niewidoczny paproch i zasnął z powrotem, kołysany do snu szelestem wysokiej trawy i machinalnym głaskaniem kobiety. On też był stary. Już mu się nie chciało ganiać za muchami, za strąconymi liśćmi. Jeszcze tylko od czasu do czasu polował na myszy. Przyносił je wtedy na schodki, układa na środku i czeka na pochwałę. Żeby nie było, że jest darmozjadem.

Tośka przeciągnęła się, aż stawy strzeliły. Uniósł siwy pysk, by sprawdzić, że jej pani nadal siedzi, czy jej nie zostawiła.

Staruszka podniosła się z trudem z ławeczki. Trzeba ugotować obiad. Suka natychmiast też podreptała do kuchni. Kobieta zaczęła obierać ziemniaki, a Tośka ułożyła się na kocyku pod stołem. Przez chwilę obserwowała obierki spadające do kosza, ale oczy same jej się zamknęły i zachrapała.

– Zazdroszczę ci, że możesz tyle drzemać – mruknęła kobieta. Ona sama wraz z wiekiem sypiała coraz mniej i w bardzo dziwnych porach. Zdarzało jej się zdrzemnąć zaraz po śniadaniu. Albo przy wiadomościach. Potem

nie mogła zasnąć i pół nocy łąziła po domu, a nieprzytomny pies włóczył się za nią z wyrzutem w wiernych ślepiach.

– No to idź spać – gderała, parząc zieloną herbatę. – Nikt ci nie każe za mną łązić. Jesteśmy w domu. Nigdzie nie wychodzę, nie zostawię cię, nie martw się.

Pies, przekrzywiając łeb, słuchał wyjaśnień, ale dopiero gdy pani zasiadła w wysłużonym fotelu i wzięła kolejną powieść do ręki, układał się obok, grzejąc jej stopy. Często dołączał do nich kocur. Związał się w kłębek tuż pod książką, czasem tylko protestując, gdy zmęczone ciężarem ręce zbyt mocno docisnęły go do kolan.

Była sama, ale dzięki zwierzakom nie czuła się samotna. Rozmawiała z nimi, powierzała im swoje troski i zmartwienia. Dzieliła się też radościami. Jak wtedy, gdy dostała wiadomość, że została babcią. Ugotowała rosół i świętowali we trójkę. Babcia Janeczka. To nic, że jej wnuczek nie potrafił tego wymówić. Patrzyła w twarz pięcioletniego Marka i w jego rysach odnajdywała podobieństwo do dziadka.

Jan. Jasiiek. Dobre miała z nim życie. Troskliwy i kochający. Była dla niego najpiękniejsza. Nawet wtedy, gdy włosy jej posiwiały, twarz pokryła się zmarszczkami, a oczy straciły blask. Dobrze, że nie cierpiał. Że spadło to tak nagle. Zawsze był energiczny, ruchliwy. Gdyby po tym udarze udało mu się przeżyć, pewnie zamęczyłby ją gadaniem. Jeśli, oczywiście, mógłby mówić. To Jasiiek przytargał Samuela. Kiedy wszedł do domu, od razu wiedziała, że coś się wydarzy. A on rozchylił połę kurtki i wyciągnął małą biało-czarną kulkę. Sam został jego pupilkiem. Z daleka rozpoznawał warkot silnika samochodu i z wyprężonym ogonem podbiegał pod bramę, czekając na swojego pana. Łasił się, ocierał o nogi, przeszkadzał i domagał się pieśszczot.

PROBLEM Z GŁOWY

– Nie jestem teraz gotowa – tłumaczyła Marysia. – Nie jestem gotowa na dziecko, rozumiesz?

Józek siedział na kanapie z pochyloną głową. Nie odzywał się, tylko ręką co jakiś czas podnosił do ust skręta. Dym drażnił dziewczynę coraz bardziej. Józek zawsze był wygadany, nikt mu nie podskoczył, to dzięki temu wyrwał ją na tamtej dyskotecie. A teraz jakby mowę mu odjęło. Pieprzony, kurwa, pozer.

– Józek! – Przyskoczyła do niego, wyrwała z ręki skręta. Zdeptała obcasem.

Żadnej reakcji.

Chwyciła go za koszulę. Miała ochotę przywalić mu z całej siły, wyrwać te nażelowane, sterczące na wszystkie strony włosy, obić twarz. Zamiast tego cofnęła się, dysząc ciężko.

Wreszcie podniósł wzrok.

– Przecież się zabezpieczyliśmy – tłumaczył, bardziej chyba sobie niż jej. Głos miał cichy, niepewny. – Miałem gumki. A ty powiedziałaś, że bierzesz pigułki. Nie rozumiem... puściłaś się z innym, tak?

Nie wierzyła w to, co słyszy. Nie potrafiła powiedzieć ani słowa, podniosła bezradnie rękę.

– Puściłaś się z innym – powtórzył, teraz już pewniej. – Dziwko. Wiedziałem.

Wstał. Próbowiła go zatrzymać, odepchnął ją, jak gdyby odganiał się od muchy. Wyszedł z pokoju, chwilę później trzasnęły drzwi wejściowe.

Klub tętnił muzyką. Ciężkie basy powodowały drzenie całej kamienicy. Podłoga lepiała się od brudu, na który składały się głównie pot, rozlane piwo i mocz ze śladowymi ilościami spermy. Jak w każdy piątkowy wieczór lokal pękał w szwach.

Józek siedział przy barze. Nie miał już siły na taniec. Na kolanach trzymał jakąś małąlatę. Wyglądała na szesnaście lat, mówiła, że ma osiemnaście, prawdopodobnie nie miała więcej niż czternaście. Bez większego zainteresowania gmerał pod jej koszulką. Sięgnął ręką do kieszeni w poszukiwaniu tabletek. Natrafił na pustkę.

– Kurwa.

Dziewczyna odwróciła się do niego.

– Co, kurwa?! – krzyknęła mu do ucha.

– Skończyły mi się! – wrzasnęła. – Muszę iść po więcej!

Część jego wypowiedzi przebiła się przez panujący hałas i jakimś cudem pobudziła otumanione neurony gówniary, bo bez słowa zesłała mu z kolan. Na migi pokazała jeszcze, że tym razem ma przynieść coś specjalnego. Skinął głową. Myślał o tym samym.

Przecisnął się przez salę, wyszedł na klatkę schodową. W kącie kopulowała jakaś para, o przeciwległą ścianę opierał się facet w średnim wieku, obserwując ich zachłannie, ręką macał się po kroczu.

Józek nie zwrócił na nich większej uwagi. Starając się nie przewrócić, schodził po schodach na parter, gdzie zwykle urzędował dealer o ksywie „Ogrodnik”. Świat wirował przed oczami, to przybliżając się, to oddalając. Chłopak zatoczył się, wpadając na wbiegającego do góry mężczyznę. Ten zdołał zachować równowagę, ale Józek nie miał szans. Sturlał się po schodach, uderzając głową o ścianę.

Łukasz Pytlik

MOTYLE MARYSI NIE POTRZEBUJĄ SKRZYDEŁ

- To tutaj, czujesz?
- Pewnie. Boże, nienawidzę tego.
- Ja się już przyzwyczyłem. Cholera, nie sądziłem, że można przyzwyczyać się do takich rzeczy.
- Potem było gorzej.
- Dlaczego?
- Przekonasz się. Ich trupy, oprócz gnijącego mięsa i smrodu odchodów, cuchną przede wszystkim złem.

Przypominała jedną z młodziutek, wciąż czujących się niepewnie przed kamerą aktorek z niemych, czarno-białych filmów z początków ubiegłego wieku. Wykrzywiła twarz w dziwacznym grymasie, a usta, szeroko otwarte, lekko drżały – krzyczała, krzyczała z całych sił, choć z gardła nie wydobywał się żaden dźwięk. Gdyby ktoś zakradł się teraz do Chatki i przez jedno z wąskich okien podejrzwał Marysię – chyba najbardziej zaniepokoiłyby go jej rozbiegane, niespokojne oczy: właśnie w nich krył się wrzask.

Krwi było dużo mniej niż przypuszczała, że będzie. Tak jest lepiej. Dzięki temu mężczyzna wyglądał, jakby spał, choć nóż wbity w oko ukryte za poszarpaną – ale wciąż zamkniętą – powieką przeczył temu w całej bezwzględności swojej japońskiej stali. Ciemna czerwień poplamiała poduszkę zaledwie paroma kroplami, sprawiając wrażenie chaotycznego wzoru wyszytego przez

niewidomą szwaczkę. Całość przypominała ostatnią scenę „Romea i Julii”, jeśli tylko Julia nie zdecydowałaby się odejść wraz z ukochanym.

Potrząsnęła głową. To nie była zbrodnia z miłości – zrobiła, co musiała i wiedziała, że gdyby zaszła taka potrzeba, to on zrobiłby dla niej dokładnie to samo.

Mężczyzna wyglądał, jakby spał.

Marysia opuściła sypialnię i przeszła do największego pokoju w Chatce – jednego z tych, gdzie dawno temu, w innych, jeszcze normalnych domach, zazwyczaj stał telewizor, pod nim kolekcja płyt dvd, czasem kompletu dopełniały głośniki. Tu było inaczej, bo w Chatce zawsze było inaczej, a z tego co mówił Krzyś, to tak naprawdę od czasu Końca wszędzie wyglądało inaczej niż kiedyś. Rodziny, które w pogodne niedziele wybierały się do wesołych miasteczek, zajmowały się raczej ocalaniem własnej skóry lub próbowały zdobyć choć trochę jedzenia, by przeżyć z dnia na dzień. W świecie, który teraz istniał nie można planować nic z wyprzedzeniem – w świecie, który teraz istniał najbardziej prawdopodobne było, że jeden z Nich dopadnie cię we śnie.

Pośrodku salonu (tak, podobno naprawdę tak ludzie mówili) stała kanapa – obicie, skryte pod ciemnymi plamami z niewiadomego źródła, zdobiły kwiaty – brzydka i toporna, na pewno nie przytulna i komfortowa. Szczęściu to nie przeszkadzało. Uwielbiał na niej siadać, naciskać słabą rączką – sprężyny jęczały boleśnie, próbując przebić zmęczony materiał. Czasem śmiał się tym swoim dziwnym, lekko zachrypniętym śmiechem, kojarzącym się raczej z dorosłym mężczyzną niż dzieckiem.

CHŁÓD

– Zgubiliśmy się – powiedział, rozkładając pomiętą mapę. – Niczego nie potrafisz dobrze zrobić.

– To moja wina? – spytała.

– A czyja. Miałaś nas przeprowadzić przez jedno rozdroże i wystarczyło, żebyśmy znaleźli się w głębokiej dupie.

– Przecież wiesz, że się nie znam. Po co mi go dawałeś?

– Sama chciałaś. Powiedziałaś, że to proste. Poza tym ja nie mogę przez cały czas wszystkim się zajmować.

Opatuleni ciężkimi kurtkami szli skrajem ciemnego lasu.

Wiatr przykrył kikuty martwych sosen całunem tłustego od popiołów śniegu. Usypał szare kurhany zasp nad opuszczonymi wioskami. Wyrównał miedze, drogi i pola. Nawet gwiazdy zdawały się oddalać w ucieczce przed zimnymi podmuchami. Świat był gładki, cichy i – gdzie nie spojrzeć – taki sam.

Gdzie my jesteśmy? Gdzie my, kurwa, jesteśmy?

– Byłeś zajęty jakimś cholernym psem – kontynuowała kobieta.

– Zamknij się – odpowiedział, próbując poświecić latarką na mapę. – Ten kundel będzie nam potrzebny.

– Do czego niby? – Kobieta poprawiła czapkę. – Daj, potrzynam.

Zabezpieczony taśmą klejącą papier na zagięciach nasiąkł wilgocią i się rozmazał. Mdłe światło latarki skakało po czerwonych poziomicach, odsłaniało fragmenty požądanych ścieżek i przenikało dziurami na drugą stronę.

Powinny być już dwa zejścia w las, nie znaleźli żad-

nego. O szukaniu czegokolwiek w polu nie było mowy. O wejściu między drzewa bez ścieżki tym bardziej. Mężczyzna ocenił, gdzie mniej więcej mogą się znajdować, poświecił wyżej i znalazł oznaczenie linii wysokiego napięcia. Trzy kilometry naprzód. Dwie godziny marszu tylko po to, żeby mieć szansę odnaleźć się na mapie.

– Kurwa, nigdy więcej nie pozwolę ci o czymkolwiek decydować.

– Przestań, proszę – odparła. – Jestem zmęczona.

– Ja też, ale idę.

Poprawił plecak i ruszył.

– Bolał mnie nogi – powiedziała kobieta po dwóch godzinach marszu.

Szli teraz wzdłuż skarłowaciałych krzewów, które nijak nie chroniły przed wiatrem. Na horyzoncie pojawiła się odległa luna miejskich świateł. Słupów energetycznych wciąż nie było widać.

– Dobrze idziemy – mruknął. – Musieliśmy jednak zboczyć znacznie bardziej, niż mi się wydawało.

– Chcę odpocząć.

– Gdzie, do cholery? Na środku zaśnieżonej łąki?

– Ja naprawdę już nie dam rady dalej. – Przykucnęła pod drzewem i się rozplakała. – Dlaczego mnie zabrałeś ze sobą?

Wydawała się być mała i bezbronna. Wyglądała tak bezradnie, jak wtedy, gdy ją pierwszy raz rozebrał. Odpiął od plecaka koc i osłonił ją przed wiatrem. Potem odszedł kilka metrów. Wyciągnął z kieszeni kawał mięsa, który podpiekał zapalniczką, aż w powietrzu rozniósł się zapach.

Zapraszamy do Księgarni Internetowej
Wydawnictwa MORPHO



Zamówienia telefoniczne: 604 25 65 95